

# Witold Bereś: \* Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej \* czyli O wywoływaniu duchów

*...już w łóżku, 29.5.20*

*Umarł Jerzy Pilch. Szok!*

*[zapis w dzienniku 1. roku pandemii, Zurich, pensjonat Josephine]*

Kraków, rok później, wychodząc z średnio-ciężko przechorowanego COVID-u-19 przeczytałam opowieść "Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej". Przeczytałam do ostatniej kropki... i... utknęłam w kropce: bo jak zreflektować księgę na bite 700 stron (784 z przypisami itd!), jeśli przy każdej stronie miałabym +/- jedną stronę refleksji "od siebie"? Recenzja na bite 700 stron? Pomijam już, kto by ją czytał, bo to w sumie nie moja troska, a czytelnika, ale napisanie bitych 700 stron to jednak zadanie na kilka miesięcy...

Utknęłam więc w kropce sparaliżowana niewykonalnością zrecenzowania siedmiusetstronicowej opowieści z hakiem siedmiustronicową refleksją z hakiem.

Ale nawet jeśli nic się nie dzieje, czas cały czas pracuje i w końcu przyniósł mi radę. Recenzja będzie mieć długość humanitarną, ale jej głębia nie będzie miała dna, podlinkuję bowiem różne swoje teksty zgłębiające i poszerzające daną dygresję, kto chce, to sobie doczyta, a kto nie chce, to sobie odpuści. Przestrzeń wirtualna ma pojemność nieograniczoną, wszystko się zmieści. Zagłębianie się pozostawię woli i dociekliwości czytelnika, a ja zaoszczędzę na czasie, zamiast w kilka miesięcy uwinę się w kilka dni.

A zatem przeczytałam opowieść o Jerzym Pilchu autorstwa jego bliskiego kolegi Witolda Beresia i poczułam ulgę żałobnika, który po szoku na wieść o śmierci kogoś bliskiego z fazy opłakiwania przeszedł w fazę godzenia się i porządkowania świata po wyrwie, jaka została po zmarłym. Od dnia śmierci pisarza mija dziś rok, czyli tyle, ile trwa zwyczajowy czas żałoby.

Przy czym - uwaga - Jerzy Pilch nie tylko nie był mi jako realna fizyczna postać nijak bliski, ale nie znałam go osobiście w ogóle. Nigdy, przenigdy, nie był dla mnie "Pilchu". Jedyny raz, gdy zetknęłam się z nim na żywo - "poznałam go żywego" - (jak w pierwszej osobie kpi sobie sam z siebie w opowiadaniu "Najpiękniejsza kobieta świata": "Cieszę się, że panią widzę żywą - wydusiłem z siebie absurdalną krzywiznę...") - to było w księgarni Matras, gdy podpisywał nagrodzoną Nike książkę "Pod Mocnym Aniołem", a ja ją nabyłam i to ani nie ze względu na jej autora, ani na Nike, a ze względu na temat, a i to przypadek, że właśnie wtedy.

Akurat byłam w księgarni, gdy wszedł w otoczeniu jakiejś swojej świty, w księgarni zrobił się, jak to w takich chwilach, popłoch i zamieszanie, nastąpiło chaotyczne celebrowanie powitalne, wreszcie posadzono szacownego gościa za stolikiem, gdzie, choć za to głową nie ręczę, stało wypisane na tabliczce JERZY PILCH, mimo że był wtedy jedynym podpisującym książki pisarzem i o pomyleniu go z jakimś innym pisarzem nie mogło być mowy. I oto każdy stał już w kolejce uprzednio kupiwszy książkę lub przyniósłszy ją z domu specjalnie w celu otrzymania autografu. Jako jedna z kłębiącego się w księgarni tłumu kupiłam książkę i ja, ustawiłam się w kolejce, podsunęłam ją Pilchowi pod nos i tyle żywego Pilcha, że tak powiem, zaznałam.

Zarejestrowałam jednakowoż, że wydawał się dość zmarnowany i podpisywał trzęsącą się ręką, co

uznałam, jak pewnie wszyscy obecni, za konsekwencję, żeby nie rzec wprost po katolicku, karę boską, oddawania się przez lata rozpuście i pijaństwu, co głosiła fama. Nie pamiętam, czym podpisywał, on, kolekcjoner eleganckich narzędzi pisania. Pelikanem? A może jego - a także mojego pierwszego szwajcarskiego męża i jego byłej polskiej żony, czyli moją marką Montblanc (vide logo Sofijonu)? I nie tyle chodzi mi o markę pióra/długopisu Pilcha, ile o moje osobiste konotacje ze Szwajcarią, o czym potem.

Książka była w rzeczy samej o "rozpuście i pijaństwie" napisana w charakterystycznym "pilchowym" stylu (bo niby w jakim innym?), który już znałam po trosze z felietonów z "Polityki", po trosze z filmu "Spis cudzołóżnic" wg jego powieści, więc spodziewałam się, że będzie dobrze, choć nie spodziewałam się, że aż **z tak mało prawdopodobnym happy endem** - jeśli chodzi o wyjście z nałogu - siła miłości dławi alkoholizm. Minie trochę lat i będzie wiadomo, że trzęsące się ręce były symptomem (jednym z) choroby Parkinsona i że to właśnie parkinson, a nie miłość, wyciągnął Pilcha z picia, co ewangelik Pilch poczytywał sobie za boską interwencję.

Minie znowu trochę lat i reżyser Wojciech Smarzowski nakręci mocny film "Pod Mocnym Aniołem" z niebywale wiarygodnym Robertem Więckiewiczem w roli narratora imieniem Jerzy a ja film nie tylko obejrzę w kinie Pod Baranami, sama w pierwszym rzędzie, ale i zrecenzuję tekstem pt. **"Pod Mocnym Aniołem czyli Mocowanie się z mocniejszym"**. Obejrzę z tych samych pobudek, z jakich nabyłam i przeczytałam literacki pierwowzór.

Zanim przejdę do mojego pierwszego szwajcarskiego męża, niewierzącego i niepraktykującego, ale jednak protestanta (do marki Montblanc jeszcze wróć), co **w kontekście lutra Pilcha** ma znaczenie, chciałabym przybliżyć, jak wyglądały moje z Pilchem relacje. Bo jednak jakieś były, a nawet nie "jakieś", a bardzo, w jakimś sensie (ciśnię się "w sensie ścisłym"), bliskie, nawet jeśli doskonale a-fizyczne, za to tym bardziej meta-fizyczne.

Otóż, a mówię to teraz, z końcem maja 2021 roku, z perspektywy znajomości prawie całego zamkniętego już dzieła literacko-felietonowego Pilcha, **jego biografii (pióra Katarzyny Kubisiowskiej)**, wywiadów (tych spisanych przez Ewelinę Pietrowiak w dwóch częściach, oraz licznych innych) i na dobitek bitych siedmuset stron opowieści Witolda Beresia o Pilchu "Pilchu", a nawet na dokładkę tych kilku recenzji książki, które już zdążyły się ukazać, że z Pilchem łączy(ł) mnie związek bardzo szczególny, żeby nie powiedzieć, wyjątkowy (choć nie odbieram nikomu wyjątkowości jego/jej własnego związku z Pilchem).

Tak to jest w relacjach ulubiony pisarz / ulubiona pisarka - zaczytany czytelnik / zaczytana czytelniczka, że tyle konstelacji z pisarzem / pisarką, ile czytelników / czytelniczek, a każda taka konstelacja jest inna i niepowtarzalna. Czego najlepszym dowodem jest książka "Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej" Beresia, bo nie jest to - no, dobrze, moim zdaniem - ani biografia (jak chcą niektórzy recenzenci, w tym Krzysztof Varga, piszący wręcz o "drugiej biografii pisarza", Newsweek 15/21), ani tym bardziej hagiografia (jeszcze raz Varga, tamże).

Jest to bardzo osobista opowieść-monument (w jak najlepszym tego słowa znaczeniu, patos ma też czasami swoje uzasadnione zastosowanie) o koledze-pisarzu, bliskim koledze i wielkim pisarzu, przez kolegę-pisarza spisana - jak rozumiem - z żalu po stracie tak niepowetowanej, że tylko spisywanie bitych siedmuset stron w bardzo krótkim czasie mogło tę pustkę choć po części zapełnić i żal utulić.

Spisywanie a właściwie to układanie, co w przypadku książki jest chyba jeszcze bardziej żmudne i

wymagające większej uważności, niż puzzle złożone z tysiąca elementów, gdzie każdy musi idealnie pasować do każdego. Żeby udała się całość, trzeba się maksymalnie skupić zapominając o bożym świecie.

Bo ta książka to układanka, dla jasności pisana różnymi czcionkami, kolaż złożony z cytatów - osobno wyróżnionych graficznie co smaczniejszych myśli Pilcha (PILCH DO SMAKU), większych cytatów z Pilcha, całych, lub prawie całych tekstów Pilcha (PILCH NIEZNANY) na stronach oznaczonych innym - szarym - kolorem, cytatów z wypowiadających się o Pilchu, autorskich, Beresiowych znaczy, komentarzy wprowadzających, uzupełniających, wyjaśniających i podsumowujących oraz zupełnej prywaty (21 GRAMÓW PRYWATNOŚCI oznaczonych dla jasności pionową linią) zważonej wagą tak czułą, jaką waży się ducha oddzielonego od ciała.

Ok, waży się martwe ciało i jakoby jest ono lżejsze o 21 gramów, wagę duszy, która w chwili śmierci jakoby ulatuje, patrz film "21 gramów" Alejandro González Iñárritu.

Na zakończenie fantastyczny fantazyjny opis krakowskiego Rynku bez Pilcha, bo z letniego czerwcowego czy lipcowego popołudnia 2020, gdy Pilch już nie żył, z perspektywy Zwisu (baru Vis-à-vis)... Ale, ale, jakże to? Bez Pilcha? Ależ z Pilchem, bo Pilch (dla przyjaciół i znajomych Pilchu) tam jest, i wszyscy, wszyscy, żywi, weseli, pijący i niepijący, gadający, dyskutujący, kłócący się i milczący: Andrzej Zaucha i Zbigniew Wodecki, Marek Edelman i Jacek Kuroń, Jerzy Turowicz i ksiądz Tischner, **Andrzej Wajda** i **Ryszard Kapuściński**, "Pan Miłosz pod rękę z **panią Wisławą**, dwoje noblistów w jednym czasie, w jednym mieście i w przyjaźni /.../". Tuż za nimi podskakujący **Stanisław Lem**, piskliwym głosem tłumaczący coś **Władysławowi Bartoszewskiemu**... Siedzi i **Piotr Skrzynecki**, i **przyjaciele** się do niego przysiadają...

Zanim jednak trafimy do krakowskiego Zwisu w letnie pandemiczne popołudnie, jest ten dzień, który odtąd już na zawsze będzie dniem śmierci Jerzego Pilcha. Jest piątek, 29 maja 2020, nowe mieszkanie młodego małżeństwa Kingi i Jerzego Pilchów w Kielcach, parę minut po trzeciej i Pilch jeszcze żyje... jeszcze chwilę, chwilkę. O ostatnich chwilach życia Pilcha opowiada jego młoda żona, za chwilę młoda wdowa.

W lipcowo-sierpniowym numerze "KRAKOWA" poświęconym pisarzowi jest - jako ostatni - pożegnalny tekst Kingi Strzeleckiej-Pilch pt. "Nie chcieliśmy lepiej". Przejmująco pięknie napisany:

*/.../ Mogłabym napisać, że tęsknię. Że kiedy kogoś wspominamy, to najczęściej siebie. Że moje koleżanki rodzą dzieci i biorą śluby, a ja mam już miejsce na cmentarzu. Mogłabym napisać, że jest mi ciężko, że to niesprawiedliwe, że za wcześnie, że niespodziewanie, że tyle bólu i cierpienia. /.../ Mogłabym napisać, że żaloba ma wiele etapów, że wyparcie miesza się z rozpaczą, rezygnacją, akceptacją, wyrzutami sumienia. Że noszę Twoje swetry. Że tak bardzo Ci dziękuję. Że kiedy patrzę na Twoje okulary, które zostawiłeś na biurku... Że jestem wściekła na los. Że jestem wdzięczna losowi. /.../ Moja miłość wystarczy teraz za nas dwoje.*

\*

Zurich, piątek, 29 maja 2020, Josephine's Guesthouse (ladies only). Mieszkam tu, w tym "tylko dla kobiet"-pensjonacie, już od prawie dwóch tygodni. Przyjechałam do Zurichu na samym początku stycznia i - nie licząc dwóch wypadów - cały czas tu jestem, czytam, piszę, między innymi o niejakim **Marcinie Chmieleckim**, uczonym czasów renesansu spod Lublina, który przybywszy do Bazylei doszedł w swojej

karierze do zaszczytnej funkcji rektora uniwersytetu bazylejskiego. Spotykam się z zuryskimi przyjaciółmi, koresponduję z fejsbukowymi znajomymi...

Planuję wrócić do Krakowa przed Wielkim Tygodniem, gdy jeszcze nie wszyscy będą się hurmem zjeżdżać na święta. Zatrzymuję się u różnych przyjaciółek, jedna, dziennikarka młodsza ode mnie znacznie, więc jeszcze nie na emeryturze, wyjeżdża z mężem Meksykaninem na wakacje do Meksyku, zostawiają mi mieszkanie z telewizorem na pół ściany, wracają ostatnim samolotem, Światowa Organizacja Zdrowia WHO ogłosiła globalną pandemię. Tymczasem w telewizji pokazują coraz bardziej przerażające obrazy z Włoch...

Druga, redaktorka na emeryturze, wyjeżdża z pieskiem na dłużej na wieś do córki, mieszkam w jej pełnym książek i kwiatów mieszkanku, ale gdy pandemia trwa i trwa, a ona chce wrócić, w obowiązującym nakazie izolowania się przenoszę się do pensjonatu u Józefiny "ladies only" w samym sercu Zurichu z tarasem na dachu z oszałamiającym widokiem na całe miasto. Pensjonat cacuszko, nowiutki, wypieszczony, mam śliczny apartamencik na 3. piętrze z balustradką do wyglądania, wyglądam wprost na wieżę kościelną o kilka metrów ode mnie, prawie na wyciągnięcie ręki. W pensjonacie nie ma telewizorów, ale przecież mam swojego MacBooka a w nim cały świat, od zawsze przecież wiem, że internet wynaleziono specjalnie dla mnie.

W Zurichu, mieście protestanckim z rygorystycznymi zasadami kaznodziei katedry Grossmünster Huldrycha Zwinglego wpajany mi społeczeństwu od XVI wieku, najmilsze sercom z pozostałości katolickich jest motto założyciela na Monte Casino w roku 529 zakonu benedyktynów św. Benedykta z Nursji, "ora et labora", "módl się i pracuj". Do dziś wyrażenie "benedyktyńska praca", to ciężka, żmudna, monotonna, wymagająca poświęcenia praca (wybrany na papieża Joseph Ratzinger przybiera imię Benedykt nieprzypadkowo, katolik, ale przecież Niemiec, potomek Lutra).

A o czymże to pisze luter Pilch w swoich książkach na różne sposoby? Pierwszy przykład z brzegu: w rodzinie Kohoutka, bohatera "Innych rozkoszy", "pieczołowicie kultywowano etos nadludzkiej pracy w nieludzkich warunkach". A działa się to w rodzinnej Wiśle Pilcha w drugiej połowie, ba, w ostatniej dekadzie XX wieku. Mieszkam w Zurichu od 1974 roku, z krótszymi i dłuższymi przerwami na Kraków i resztę świata, przesiąkałam i ja tym etosem. Podczas gdy parafia ewangelicko-augburska w Wiśle należy do niewielkiego archipelagu wysepki lutrów w morzu rzymsko-katolickim reszty Polski i wiślanin Pilch przenosząc się czy to do Krakowa, czy do Warszawy, czy w końcu do Kielc, zanurza się w kosmos wyznawców Kościoła Katolickiego, ja wywodząc się z katolickiej Polski trafiam do zreformowanej części Szwajcarii, Zurichu buntownika Zwinglego... przyjdzie się w innym duchu modlić.

Na szczęście jestem niewierząca, a poza tym nikt się tu tak znowu nie modli, Bóg dawno już zdążył wysłuchać, pokochać i wycenić modły Szwajcarów na największe pieniądze świata, co krok to bank, kilka pięter nad ziemią i wiele pięter w głąb wypełnionych nieprzebrany bogactwem. Ale Zurich jest też naszpikowany kościołami, kościoły mają wieże, na wieżach są zegary, zegary wskazują godziny, nowoczesne mechanizmy uruchamiają dzwony, a te co kwadrans przypominają, memento, *MEMENTO*, pamiętaj, czas to pieniądz, jedno uderzenie, kwadrans po, dwa, w pół do, trzy, za kwadrans, cztery, pełna godzina, od jednego do dwunastu mocnych uderzeń i tak w kółko, od średniowiecza do ery informatycznej i nie ma zmiłuj. Dodatkowo w niedziele i święta dzwony wygrywają dłuższe koncerty, 7, 10 minut na Gottesdienst, nabożeństwo... Ci, którzy mieszkają blisko kościołów muszą się przyzwyczaić, nawet jeśli mało kto ucęszcza na Gottesdienst.

Tylko że prawie wszyscy mieszkają blisko. Od lat ścierają się przeciwnicy kościelnych dzwonów z ich zwolennikami, wygrywają zwolennicy, tradycja to ważna wartość w Szwajcarii, co ma trwać, niech trwa. Ja należę do zwolenników, polubiłam ten średniowieczny obyczaj regularnego bicia na trwogę, tak, czas nie próżnuje. Nigdy. Jednak tak blisko, jak w tym pensjonacie, na wyciągnięcie ręki, to jeszcze nie mieszkalam.

Więc przyzwyczajam się, że mam w głowie potężne dzwony, które co kwadrans nieubłaganie odliczają mój czas, bum... bum bum... bum bum bum... BUM BUM BUM BUM BUM BUM BUM BUM BUM BUM BUM BUM... Dwunasta! Jezu, już południe! Nocą dzwony wybijają tylko pełne godziny, jedno uderzenie na pierwszą w nocy to jak piknięcie, nawet mnie nie rozbudza. Przy otwartym balkonie. A szósta to już dzień. Hej, ho! Naprawdę idzie się przyzwyczaić. Natomiast nie wyobrażam sobie Helwetii bez kościelnych dzwonów. Bez tej metafizycznej komponenty alpejska kraina byłaby jednym wielkim bezszmerowo funkcjonującym czasomierzem, nomen omen, "szwajcarskim zegarkiem", a jej mieszkańcy posłusznie obracającymi się trybikami i śrubkami (nawiasem, Szwajcarzy w powszechnym referendum 29.11.2009, **odpowiedzieli "nie" na pytanie**, czy zgadzają się na minarety przy meczetach).

Niedziela 22 marca to 63. urodziny **mojego drugiego szwajcarskiego męża**, niewierzącego protestanta-konwertyty, jest w hiszpańskim porcie na swojej łodzi, wróci samolotem ściągającym ostatnich Szwajcarów zewsząd po zamknięciu granic. Mój pierwszy szwajcarski mąż obchodziłby 23 maja 83. lata, ale nie żyje od ponad trzech lat, pandemia go już nic, a nic nie obchodzi. Ta niedziela, 22 marca 2020, to pierwszy dzień lockdownu, w drodze wyjątku wolno wychodzić na zdrowotne spacer. Wychodzę na zdrowotnie-rozpoznawczy spacer. Prawie nikogo. Co kwadrans zuryskie dzwony kościelne zawiadamiają wyludnione miasto, że czas nie ma lockdownu. Nigdy.

W pustym mieście dzwony słychać ze wszech stron. Dokładnie w południe dochodzę na Lindenhofu, "Dziędzińca Lip", wznoszącego się wysoko na rzekę Limmat placu otoczonego starymi lipami, najstarszego miejsca w Zurichu. Gdy osiedlili się tu Rzymianie, a było to wedle przekazów 2034 lata temu w roku 2020, nazwali osadę Turicum. Na przeciwległej stronie rzeki po mojej prawej stronie dwie wieże Grossmünster. Zaczyna się, bum bum bum bum i BUM BUM BUM... Wszystkie dzwony grzeją jak na koniec świata. No, zgroza. I magia. I metafizyka.

Nieodparcie wracam myślami do książki "**Żywego ducha**" (Pilcha, oczywiście), półtora roku wcześniej ją czytałam, przeżywałam i recenzowałam. Teraz jestem jej bohaterką. Nie w Warszawie, w Zurichu, ale to na jedno, świat się skończył, ludzie poznikali, zostałam sama i nie wiem co to znaczy. Schodzę w dół do mostu i widzę szpaler wozów policyjnych, od czasu do czasu dochodzą skądś przeciągłe syreny. Jednak są jacyś ludzie! Tylko czy są to jacyś ludzie? Może te samochody same jeżdżą? I same wyją?

Jeżeli jest to świat po apokalipsie i ostałam się tylko ja sama jedna, to mam niepowtarzalną okazję pobłąkać się po tym świecie, nim to coś, co unicestwiło ludzkość i mnie zniknie. Postanawiam zwiedzić wszystkie swoje zuryskie adresy. Pochodzić po swoich śladach, śladach bliskich mi ludzi, spraw i uczuć, które tu przeżywałam. A właściwie to polatać, bo czuję się jak duch bezcieleśnie, bez trudu mogę przenikać czas i przestrzeń. Zaczynam, rzecz jasna, od **ducha mojego pierwszego szwajcarskiego męża**, niby protestanta, ale... Bóg to dla niego pojęcie mityczne, niemniej: "panna nie panna, pisz pan panna". Jego babka pochodziła z Livorno, a Livorno, miasto narodzin **Modiglianego**, to w XIX wieku miasto, gdzie żyła duża społeczność Żydów sefardyjskich, uciekinierów z Afryki Północnej, Hiszpanii i Portugalii.

Zważywszy ilość i jakość talentów **mojego pierwszego szwajcarskiego męża**, genialnego poliglota, malarza-artysty, żeby wymienić tylko dwa, wielu potomków musiało się na to złożyć i nie byli to szwajcarscy górale. A potem, każdego kolejnego dnia tej przedziwnej pandemicznej wiosny robię sobie takie przeloty i zaczynam trafiać na ludzi, którzy tu się przewinęli i o których, bywało, pisałam. Oto we własnej osobie **Władimir Iljicz Uljanow a tuż za nim Nadjeżdża Konstantinowna Krupskaja** w wielkanocny poniedziałek 9 kwietnia 1917 śpieszą na pociąg odchodzący z Hauptbahnhofu o 15:10, nie mogą się spóźnić, bo przyszłość już jest zapisana w Czasie, musi się wydarzyć.

A tu, któż to idzie mi naprzeciw na moście im. Rudolfa Brüna (Rudolf-Brün-Brücke), piękny, jak grecka bogini? Nieledwie **21-letnia Agnieszka Osiecka** w eleganckim kostiumie i słonecznych okularach idealnie wyrzeźbionym profilem zwrócona do mnie. Zurichem była rozczarowana ("Zurich to było dużo mniej, niż wymyśliłam", zapisuje w Dzienniku w 1957 roku), ale gdyby zapoznała się z historią zuryskiego Opernhaus(u), Zuryskiej Opery, zdziwiłaby się bardzo, bo gmach ten miał stanąć w Krakowie jako **Teatr Miejski (od 1909 roku im. Słowackiego)**, to on wygrał konkurs na projekt nowego teatru, lecz w wyniku różnych krętaństw radnych Krakowa zrealizowano inny projekt, a ten zakupił, tratatataam, Zurich(!).

Zdziwiłaby się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, że nie minie wiele lat, a **jej ukochany, którego opowiadanie** przeszmygowała właśnie przez polską granicę w celu dostarczenia go **w redakcji Kultury pod Paryżem**, stanie się na jakiś czas rezydentem Zurichu u boku swojej niemieckiej żony, gwiazdy ekranu i sceny, zatrudnionej w zuryskim teatrze, słynnym Schauspielhaus(ie), i będzie mieszkał bardzo blisko miejsca, gdzie "Agusia", jego narzeczona, właśnie się przechadza.

Ciut, ciut dalej, tuż przy Grossmünster(ze), w przejściu pod filarami, gdzie kwiaciarki sprzedają za horrendalne szwajcarskie ceny kwiaty, Piotr Skrzynecki za 100 franków, całą swoją gażę za występ z Piwnicą w Zurichu, kupi wiadro róż, bo tak mu fantazja podyktuje, i rozda kwiaty wszem i wobec. Piwnica pod Baranami gościła w Zurichu jesienią 1986 roku z mojej inicjatywy, a pomagali mi prowadzący od lat niewielki teatrzyk zwany **Theater STOK** w prostej linii u stóp Zuryskiego Uniwersytetu, gdzie wtedy jeszcze - ciągle jeszcze - studiowałam. To właśnie na okoliczność organizowania występu Piwnicy zaprzyjaźniałam się wtedy z pewną parą polonistów, absolwentów UJ, mieszkańców Zurichu. I to oni będą gościć i eskortować Jerzego Pilcha po odbiór nagrody Kościelskich za jego pierwszą powieść "Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej".

\*

**Witold Beres, "Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej", wyd. Wielka Litera, Warszawa 2021**

\*

*Kraków, czwartek, 27.5.21  
Szokująca wiadomość o śmierci Pawła Szweda!  
[zapis w dzienniku 2. roku pandemii,  
red. naczelny wydawnictwa Wielka Litera zmarł na covid, miał 54 lata]*